

I. Wprowadzenie

*A strange lot this, to be dropped down in
a world of barbarians –
Men who see clearly enough the barbarity of
all ages except their own.*

Ernest Crosby¹

Relacje podróżników, od Herodota po Marco Polo i od Marco Polo po współczesnego „globtrotera”, zawsze były – czasem słusznie, czasem nie – traktowane z dużą podejrzliwością, ponieważ ci, którzy wyruszają poznawać obce ludy, mają tendencję, by przyjmować cudze opinie, a następnie przekazywać je swoim czytelnikom [jako własne]. Żaden zarzut tego typu nie może być jednak postawiony niniejszej opowieści, jako że opisuję zwyczaje kraju, w którym jestem tubylcem. Moja historia obfitowała przy tym w nie mniej przygód niż było to udziałem podróżników [...]. Moje doświadczenia zbierałem co prawda podczas podróży intelektualnej, ale wydają się one równie godne uwagi, a wydarzenia, które przedstawiam, miały bardzo realny wpływ na moje życie [...].

Ta historia opowiada o siedemdziesięciu latach spędzonych przeze mnie między dzikimi², choć – wypada zauważyć – nie było to siedemdziesiąt lat przeżytych w świadomości, pośród kogo żyję. Na pierwszym etapie pobytu

¹ W orygl. bez źródła, por. E. Crosby, *Democracy*, w: tegoż, *Broad-cast*, New York 1905, s. 15.

Dziwna to rzecz, znaleźć się w świecie barbarzyńców –

Wśród ludzi, co dostrzegają barbarię w każdym czasie poza swoim.

Ernest H. Crosby (1856–1907) był amerykańskim duchownym i pisarzem, działaczem społecznym o poglądach lewicowych. Popierał ruch reform progresywnych, był wegetarianinem, anarchizował. Crosby wstąpił do Ligi Humanitarności i publikował w jej wydawnictwach (m.in. pamflet pt. *Fetysz mięsa*, por. E. Crosby, *The Meat Fetish*, w: E. Crosby, E. Reclus, *The Meat Fetish, Two Essays on Vegetarianism*, London 1905). Fascynował się spirytualizmem Edwarda Carpentera. (O ile nie podano inaczej, wszystkie cytaty są w moim tłumaczeniu – C.B.).

² Oryg. *savages* – określenie „dzicy” („ludy pierwotne”, „narody niecywilizowane” i in.) było jeszcze w pierwszych dekadach XX w. powszechnie stosowane, choć miało oczywiście wydźwięk pejoratywny (wbrew zapewnieniom autora na kolejnej stronie). Jak pokazują pozostałe teksty w antologii, Salt nie uwolnił się w pełni od ograniczeń epoki i posługiwał się językiem, który dziś jawi się jednoznacznie jako wykluczający. Tu oczywiście ostrze krytyki zwraca w stronę narodów rzekomo cywilizowanych i rozwiniętych, a właściwie dumnego imperium brytyjskiego.

w mojej osobiwej ojczyźnie ledwie podejrzewałem, jak straszna rzeczywistość mnie otacza [...]. Później jednak powoli, wydarzenie po wydarzeniu, zacząłem otwierać oczy, aż w moim umyśle zaświtała myśl, która tłumaczy rozmaite sprzeczności trawiące nasze społeczeństwo. Oto nie jesteśmy wcale „cywilizowani”, ale zwyczajnie „dzicy”. „Wieki ciemne” zaś nie przeminęły, ale wciąż boleśnie nas doświadczają.

Poszukując wytłumaczenia mojej długotrwałej ślepoty, należy zauważyć, że pośród dzikich współwyspiarzy, podobnie jak i pośród narodów z nami sąsiadujących, panuje utrwalony i niemal nieprzemierzalny przesąd, że jesteśmy wielce oświeceni i cywilizowani i że żyjemy w epoce, która wyłoniła się z barbarzyńskich mroków przeszłości [...]. Właśnie temu złudzeniu początkowo uległem i właśnie to złudzenie utrudnia przekazanie prawdy tym, w których nie narodziły się jeszcze wątpliwości. W rzeczywistości, jak pokażę, różnica między dawnym „barbarzyństwem” a dzisiejszą „cywilizacją” sprowadza się głównie do pewnych trendów intelektualnych, które pojawiają się i przemijają, oraz rozwoju techniki. Owszem, zmieniły one, a nawet skomplikowały materialny aspekt naszego życia, lecz wewnątrz nas samych drzemie wciąż nietknięty duch dzikiego.

Dopóki nie ukończyłem trzydziestego roku życia, nie zastanawiałem się zbyt nad rodzimymi zwyczajami i obyczajami, które w dzieciństwie zaakceptowałem jako naturalny porządek rzeczy. Słyszałem co prawda opowieści i czytałem relacje o „dzikich”, ale z satysfakcją odnotowywałem, że moja własna ojczyzna od stuleci dostępuje błogosławieństw cywilizacji i religii, którymi tak chętnie dzieli się, gdzie tylko może na Ziemi.

Dlaczego to właśnie stosowana przez moich rodaków dieta skłoniła mnie do refleksji, nie umiem powiedzieć. Tym bardziej, że moje późniejsze odkrycia przekonały mnie, że praktyki żywieniowe tych ludzi są nie bardziej zdumiewające niż inne ich zwyczaje, początkowo niebudzące mojej podejrzliwości. Tak jednak było. Pełen zdumienia, którego nie stępił czas, uzmysłowiłem sobie, że „mięso”, które stanowiło fundament mojej diety i które uważałem za taki sam artykuł żywieniowy, jak chleb, owoce czy warzywa, tak naprawdę jest ciałem i krwią: wołu, owcy, świni i innych zwierząt, które są zarzynane w wielkiej liczbie i w warunkach tak straszliwych, że sama wzmianka o nich przy stole stanowi niewybaczalny nietakt.

Kiedy zaś zacząłem wskazywać moim przyjaciołom i znajomym rażące sprzeczności naszej „cywilizacji”, zauważyłem rzecz jasna [...], że odpowiedzi, którymi próbowali zbyć dręczące mnie wątpliwości, były niezwykle wymijające i pełne sofisterei. Przypominało to wykręty, które podróżnicy słyszeli od kani-bali, gdy dopytywali się zbyt natrętnie o ich zwyczaje żywieniowe. I stąd moje

podejrzenie, że jeśli chodzi o dietę, od dzikich, których mamy za zdeprawowanych, różnimy się tylko co do stopnia [deprawacji].

Abym został dobrze zrozumiany: tu i w innych miejscach posługuję się terminem „dzicy” w jego naturalnym i nieobraźliwym znaczeniu, odnoszącym się jedynie do ich niższego poziomu cywilizacyjnego. Nie mam zaś na myśli okrucieństwa albo krwiożerczości. To, co chciałbym więc przekazać, jest przyjacielską relacją z życia przyjaznych dzikusów (i to pisaną przez jednego z nich) [...].

Zwyczaj moich rodaków dzieli się na dwa rodzaje. Pierwsze odnoszą się do innych istot ludzkich. Drugie – do tzw. zwierząt niższego rodzaju.

W niewielu przypadkach barbarzyństwo wyspiarzy jest bardziej oczywiste niż w prowadzeniu wojen. Albowiem to, co nazywają „pokojem”, jest tak naprawdę jedynie rozejmem uzbrojonych, przerwą między jedną walką a drugą, [...] pożytkowaną na rozprawianie o tym, na kogo należy przeprowadzić inwazję albo jak inwazję odeprzeć (zwłaszcza że uwielbiają przedstawiać siebie jako odwiecznie czystych, stawiających opór wściekłym atakom zza granicy). Jest też ich zwyczajem, by pośród sąsiadujących plemion zawsze jakieś służyło za postrach i by jego rzekome knowania przeciw ich imperium uzasadniały niekończący się stan gotowości. W tym celu zawierają sojusze z innymi narodami, [w teorii] wieczne, a [w praktyce] tymczasowe, w których przyjaźń oparta jest bardziej na poczuciu nieufności niż na życzliwości. Pod pretekstem wiary w zakłamaną i doszczętnie bzdurną maksymę: *Si vis pacem, para bellum* („jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny”), umysły mają nieustannie nakierowane na wojnę, skutkiem czego, pomimo głoszenia przez nich cnót miłosierdzia i braterstwa, rzemiosło z a b i j a n i a jest przez nich darzone najwyższym szacunkiem.

A co, jeśli potrzebne są jakieś pieniądze na cele publiczne, takie jak edukacja czy pomoc najbiedniejszym? [Tubylcy] natychmiast wskazują na każdą możliwą przeszkodę niepozwalającą spożytkować na to ich środków. Ale niech tylko jakaś obca nacja wzbudzi cień podejrzenia, że uchybiła czci „sztandarowi”, trudno będzie na wyspie o dzikiego, który nie byłby skory do ogołocenia całego skarbu państwa, by roztrwonić go na szczeniackie porachunki. A jeśli kto zaprotestuje przeciwko tej głupocie, sprowadzi na siebie oskarżenie o „brak patriotyzmu”.

Jakkolwiek komiczna jest ich polityka zagraniczna, jeszcze bardziej komiczny jest ich ustrój społeczny. Pod zasłoną „dobroczynności” i „filantropii” toczą bowiem wojnę domową, w której każda jednostka i każda grupa interesu bierze udział w bezlitosnej walce [...] i szalonej pogoni za bogactwem. Konsekwencją jest oczywiście stan rażącej nierówności, w którym uprzywilejowani nurzają się w luksusie, a pozostali wiodą swój ziemski żywot przygniecenii skrajnym ubóstwem.

I tak, w wyniku nieuniknionego procesu, rodzi się tzw. klasa zbrodnicza, czyli zastęp ludzi, których niesprawiedliwość społeczna popycha do przestępstw i przemocy. W tym przypadku wrodzona dzikość natury moich współwyspiarzy ukazuje się wyraźniej niż w innych zwyczajach, jako że zamiast próbować wykończenia przyczynę opisywanego zła przez ustanowienie sprawiedliwych i przyzwoitych warunków do życia, wszyscy niemal co do jednego opowiadają się za „karaniem” (tak mówią) ofiar swoich własnych niemądrych porządków. Orzekają więc wobec sprawców przestępstw barbarzyńskie wyroki pozbawienia wolności, chłosty, a w skrajnych przypadkach – szubienicy. Aby zaszczepić nawyki uczciwości, zamykają człowieka w więzieniu, czyniąc go jeszcze bardziej niezdolnym do uczciwego zarabiania na życie. Jako ostrzeżenie przed rozbojem dają przestępcy lekcję urzędowo sankcjonowanej przemocy, wymierzając mu razy batem. A świętości ludzkiego życia dowodzą, mordując mordercę [...]. Doprawdy mnóstwo groteskowych absurdów tego typu jest uroczyście i z rozmysłem orzekanych w ich tak zwanych sądach, a każdy, kto je wytyka, jest uważany za naprzykrzającego się głupca.

Atoli dopiero, gdy zwrócimy uwagę, jak obchodzą się z gatunkami innymi niż gatunek człowieka, odnajdujemy najmocniejsze dowody barbarzyństwa [moich rodaków]. Co prawda nawet tu ich zdziczenie nie jest całkiem „nagie i bezwstydné”, jako że – jakkolwiek dziwnie by to brzmiało – ci osobliwi ludzie lubują się w ukrywaniu swojego prymitywizmu za zasłoną przesądów i sofizmów. Prezentują się więc jako „miłośnicy” stworzeń, które zgodnie ze zwyczajem poddają torturom na potrzeby uprawianych przez siebie „sportów”, „nauki” i „kulinariów”. Mają nawet prawo zapobiegające okrucieństwu wobec zwierząt, na mocy którego pewne uprzywilejowane gatunki, zakwalifikowane jako „udomowione”, są chronione przed pewnymi, z góry określonymi formami znęcania się, choć w każdej chwili mogą być bezkarnie poddawane innym, gorszym wręcz krzywdom, np. z rąk rzeźnika czy naukowca. Gatunki dzikie zaś, choć przecież nie mniej wrażliwe na ból, są niemal całkowicie pozbawione ochrony i zgodnie z prawem poddaje się je bestialstwu „mody” czy „sportu”, tak typowym dla [wyobraźni] dzikiego umysłu. Kobiety chodzą okryte futrami i piórami zdartymi z ciał ssaków i ptaków, a branża konfekcyjna jest tak mordercza, że niekiedy poświęca się całe gatunki, by dać upust bezmyślnej modzie.

Nic nie może jednak przewyższyć okrucieństwa sportów narodowych, w których, pod pretekstem zapewnienia dręczycielom zdrowego ruchu, jelenie specjalnie hodowane w tym celu w ogrodzonych parkach są doprowadzane przed gromadę ludzi i psów, by na nie szczuto i za nimi goniono. Albo też na małym wydzielonym terenie chmara wrzeszczących ludzi urządza sobie co tydzień

obławę na króliki w wigilię święta religijnego. Bażanty i inne „chronione” gatunki ptaków wycina się tysiącami podczas zorganizowanej rzezi, którą eufemistycznie nazywa się *battue*³. Gołębie wypuszcza się z klatek, by mogły zostać zastrzelone przez bandę drani, którzy zakładają się, który celniej trafi. [...] Wszystkiego tego dokonuje się przy tym na oczach dzieci, które od najmłodszych lat zaznajamia się z okrutnym obyczajem. Więcej nawet, w niektórych przypadkach zachęca się je wręcz do udziału w opisywanych praktykach, a za pierwszym razem, gdy zwierzyna pada „w ogniu” – inicjuje poprzez „chrzest”, tzn. chrzci krwią zarżniętej przed chwilą ofiary.

Wszelako rzeczy te nie są tak niezrozumiałe, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Choć chętną się postępem nauki i sztuki, moi rodacy są na dobrą sprawę wciąż nieświadomi faktycznego pokrewieństwa między człowiekiem i pozostałymi gatunkami oraz obowiązków, które z tego wynikają. Wciąż są ofiarami owego starego przesądu antropocentrycznego, który sytuuje Człowieka w centrum wszechświata i oddziela go głęboką przepaścią od zwierząt niższych – zwykłych zabawek stworzonych ku jego ucieście i rozrywce. Jest przy tym bardzo prawdopodobne, że gdyby tylko ktoś powiedział tym bezmyślnym dzikusom, że sami są zwierzętami, uznaliby ten fakt za obrazę ich uczuć religijnych oraz naruszenie godności osobistej [...].

Nawet naukowcy, którzy teoretycznie odrzucili już anachroniczną ideę, że wszechświat został stworzony dla człowieka, w rzeczywistości [...] uważają, że mają prawo bez najmniejszych skrupułów poświęcać całe zastępy zwierząt niższego rodzaju, poddając je torturom, które sami nazywają „badaniami”. I czynią to, jak gdyby Nauka nie zdawała sobie sprawy z bliskiego pokrewieństwa biologicznego między eksperymentatorem, który włada skalpelem, a przywiązanym do stołu operacyjnego psem! [...].

Fakty te jednak, choć na pierwszy rzut oka wydają się straszliwe, mogą też napawać nadzieją [...]. Albowiem jeśli nasi ziomkowie rzeczywiście są dzicy (a któż mógłby w to wątpić?), czyż nie powinniśmy radować się na myśl, że będąc dzikusami, starają się to na różne sposoby ukryć, a gdy tylko zechcą, potrafią nawet odnosić się do siebie nawzajem życzliwie, przyzwoicie i [postępować] praworządnie? Czy zamiast potępiać ich zbyt stanowczo za polowanie i zjadanie zwierząt, nie powinniśmy być im wdzięczni, że przynajmniej nie polują na siebie nawzajem i nie zjadają [przy tym] i n a s? [...]. Już sam fakt, że „człowiek” zdołał przeżyć pośród dzikich przez tak wiele lat, świadczy o ich dobrej naturze. Widziany z tej perspektywy, problem nie polega na tym, że [moi rodacy]

³ *Battue* (fr.) – obława, nagonka.

są dzicy, ale na tym, że żyją w przekonaniu o swoim ucywilizowaniu. To właśnie ze źle pojmowanej cywilizacji biorą się ich błędy.

Cokolwiek by jednak o nich mówić, współwyspiarze są osobliwym i interesującym ludem, na który chciałbym zwrócić uwagę antropologom. W epoce, w której wiele pierwotnych plemion jest przedmiotem uczonych rozpraw i działalności misyjnej, z pewnością jest wskazane, aby zwyczaje i tego narodu [...] zostały krytycznie i wyczerpująco opisane. Jeśli rzeczywiście taki byłby rezultat mojej książki, wynagrodzi mi to z nawiązką ból, który odczuwałem podczas spisywania tych osobliwych a prawdziwych doświadczeń.

II. Gdzie niewiedza daje pocieszenie

Raj ich zburzyłoby takie myślenie.
Dość. Gdzie niewiedza daje pocieszenie,
Tam wiedza jest głupotą.

*Ode on a Distant Prospect of Eton
College* [Thomasa] Graya⁴

Jeśli jest prawdą to, że – jak twierdzą naukowcy – okres chłopięcy odpowiada fazie prymitywnej w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości, a pojedynczy chłopiec uosabia dzikie plemię, można z dużą dozą pewności stwierdzić, że szkoły publiczne w Anglii⁵ [...] są wylęgarnią barbarzyństwa. Są mikrokosmosem klasy drapieżniczej, której członkowie „ani pracują, ani przędą”⁶; w zamian niczym dawni łowcy pielęgnują w sobie ducha sportu i wojaczki. Eton⁷ lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jakkolwiekby się starał stworzyć pozory naukowości i wyrafinowania, był właśnie bastionem dziczy. Wypada jednak przyznać, że bardzo łagodnej i uroczej dziczy, bo dzicy, jak wiemy, są często bardzo przyjemnymi ludźmi.

We wspomnieniach opublikowanych w 1910 r. pt. *Eton w czasach Hornby’ego*⁸ opisałem edukację w szkołach publicznych pięćdziesiąt lat temu. System był wówczas prawdopodobnie niewiele gorszy niż dziś, a sam Eton, zgodnie z wnioskami przedstawionymi w książce, nigdy tak naprawdę się nie zmienia [...]. Jest to szkoła, w której przede wszystkim „niewiedza daje pocieszenie” [...]. Gdy

⁴ Por. T. Gray, *Ode on a Distant Prospect of Eton College*, w: A.L. Poole (red.), *The Poetical Works of Gray and Collins*, Oxford 1917; cyt. za: T. Gray, *Oda na odległy widok Eton College*, tłum. M. Słomczyński, w: H. Krzeczkowski, J.S. Sito, J. Żuławski (red.), *Poeci języka angielskiego*, t. II, Warszawa 1971, s. 63. Thomas Gray (1716–1771), poeta i wykładowca uniwersytecki (filologii angielskiej oraz historii) był absolwentem Eton.

⁵ Oryg. *public school* – odpłatna szkoła prywatna, przeważnie dla młodych mężczyzn, niezależna administracyjnie od publicznego systemu szkolnictwa. Nominalnie jest otwarta dla każdego, w praktyce uczęszczają tam elity.

⁶ Mt 6, 25–34.

⁷ Eton College to elitarna szkoła męska w Eton, nieopodal Windsoru. Jako placówka pod patronatem króla istnieje od poł. XV w. Blisko współpracuje z King’s College w Cambridge, gdzie studia wyższe podejmuje wielu absolwentów szkoły. Wiele uwag Salta na temat klasowości czy zwyczajów panujących w Eton pozostaje aktualnych po dziś dzień.

⁸ H.S. Salt, *The Nursery of Toryism. Reminiscences of Eton Under Hornby*, London 1910.

napisano o uczniach, że „raj ich zburzyłoby myślenie”, odnosiło się to do ich świadomości istnienia przeciwności losu, które przychodzą wraz z dorosłością. Jakże zakłóciłaby ich radość kontemplacja krzywdy i cierpienia wypełniających świat! Tak ponurych myśli Eton nie znał jednak w ogóle, pławiąc się w miłym samozadowoleniu. Życie tam było prawdopodobnie najprzyjemniejszą ze wszystkich znanych mi dotychczas form bezmyślnej egzystencji [...].

Potrzeba zaprowadzenia dyscypliny w niektórych klasach była paląca. Mój pierwszy semestr spędziłem w wyjątkowo krnąbrnej i rozrabiackiej klasie piątej, która znalazła się pod opieką znakomitego filologa klasycznego znanego [pośród uczniów] jako „Swage” albo „Swog”. [...] Jedną z pierwszych scen, których byłem świadkiem po przyjeździe do szkoły, była usilna próba wprowadzenia do klasy zabłąkanej krowy, podjęta przez co bardziej rosnących chłopców. Doszli z nią aż do samych drzwi, ale tam wpadli na Swage’a, który przegonił ich, krzycząc w niebogłosy i wymachując wielkim kluczem do drzwi. Tego typu psoty wyczyniano każdego dnia [...].

Doszło nawet do tego, że [Swage] napisał kiedyś list do dyrektora, skarżąc się, że jeden z jego podopiecznych ma w zwyczaju dudnić w drzwi jego gabinetu. Załączony dopisek mówił więcej niż potok słów nad nim: „P.S. Wali w nie nawet w tej chwili”. Wpaść w ręce chłopców, jak ten nieszczęsny wychowawca (a jego los podzieliło kilku innych), oznaczało stać się jeńcem dzikich. Co prawda nie zabili go i nie zjedli, ale tu kończyło się ich miłosierdzie. Każdego dnia wyprawdzali wychowawców z równowagi i dodawali im nowych problemów.

Tak właśnie miały się sprawy, gdy dyrektorem został Hornby⁹. Za jego nie dbale sprawowanej kadencji sytuacja zamiast poprawić jeszcze się pogorszyła, ale nikt, kto posiada jakąkolwiek wiedzę na temat historii kar cielesnych, nie będzie zaskoczony, gdy usłyszysz, że [Hornby] często posługiwał się różgą. Niewiele było takich dni, żeby do młodszych klas nie zajrzał starosta¹⁰, by zatrzymać sprawcę jakiegoś wykroczenia „po lekcjach” i ukarać go [...]. A gdy zbliżała się fatalna godzina, oczy wszystkich kierowały się ku delikwentowi, który aż do końca zachowywał kamienną twarz. Gestami przypominano mu o charakterze kary, którą miał wkrótce ponieść, i podnoszono w górę zegarki, by podkreślić straszny

⁹ James John Hornby (1826–1909) został dyrektorem Eton College w 1869 r. i pełnił tę funkcję przez 15 lat. W szkole pozostał aż do śmierci, na emeryturze pełniąc (honorową) funkcję rektora. Surowa ocena Salta wynika nie tylko z krytycznego spojrzenia na brytyjski system edukacji, lecz także wyraźnej niechęci Hornby’ego do nowinkarstwa intelektualnego oraz braku tolerancji dla zaangażowania politycznego nauczycieli.

¹⁰ Oryg. *Sixth Form Praepostor*; *praepostor* w szkołach prywatnych to uczeń starszej klasy odpowiadający za dyscyplinę wśród młodszych uczniów.

fakt, że tak jak w przypadku doktora Fausta, właściwy czas nadchodził nieubłagane. [Po klasie] niosły się przypuszczenia, „ile razy” dostanie. Doprawdy, przyjaciele ofiary wcale nie byli delikatni ani współczujący.

Chłosta jest bowiem tradycją Eton. Przywołuje się ją w każdej książce poświęconej koledżowi i nie podobna o niej nie wspomnieć w każdej rozmowie na temat szkoły. Był kiedyś taki zwyczaj, że w wakacje mury szkolne otwierały się dla turystów przyjeżdżających do Windsoru. Oprowadzająca wycieczkę kobieta (przeważnie należąca do służby) przedstawiała wówczas każdą z „atrakcji”. Gdy docierano do gabinetu dyrektora, przewodniczka zwracała uwagę słuchaczy na „ławę”¹¹, objaśniając rolę, jaką mebel odgrywał w dyscyplinowaniu sprawców, a następnie dodawała grobowym głosem, podkreślającym powagę sprawy: „Karę otrzymują na gołe pośladki”. To prawdziwy, ale raczej niewystarczający opis praktyki, którą tolerować może tylko wyjątkowo barbarzyńskie społeczeństwo [...].

Któż, wspominając dawne dzieje, może wątpić, że byliśmy wówczas dzicy? *Non Angeli sed Angli*¹². „Były to czasy – jak wyraził się w swoim *Floreat Etona* pan Ralph Nevill¹³ – kiedy przyprowadzające o młodości wywody humanitaryzmu, zrodzonego z życia w luksusie i słabości ducha, jeszcze się nie pojawiły, by czynić naród angielski zniewieściałym i skarłałym”¹⁴. Polowanie na zające i szczucie ich psami było wówczas, jak i jest zresztą dziś, jedną z uznanych rozrywek. Nawet wiele lat później, już za kadencji dr. [Edwarda] Balstona (1857–1868), pozwalano chłopcom dla urozmaicenia rozrywki gonić beagłami lisy, które wcześniej okaleczano, pozbawiając łapki¹⁵. Żadne z setek kazań, których wysłuchałem w kaplicy Eton College, nie wspominało nawet słowem o tym okrucieństwie. I nic dziwnego, w końcu Eton od zawsze był domem krwawych sportowców [...].

Gdyby potrzebny był jeszcze jakiś dowód na to, że nasza młodzieńcza dzikość była ledwie skrywana, wystarczy wskazać, jak traktowaliśmy stare żebraczki,

* Zob. *Seven Years at Eton* Brinsleya Richardsa. [Oryginalne przypisy Salta są oznaczone gwiazdką – przyp. tłum.].

¹¹ Oryg. *block* (lub *birching block*) – ława, przez którą przekładano bitych uczniów.

¹² *Non Angeli sed Angli* (łac.) – nie anioły, lecz Anglicy; łacińska wersja angielskiego powiedzenia opierającego się na grze słów – *Not angels, but Angles*, które ma źródło w przypowieści o papieżu Grzegorzu I. Gdy w VI w. pokazano mu sprzedawane na targu angielskie dzieci, miał rzekomo zachwycić się ich pięknem i porównać do aniołów. Samo powiedzenie funkcjonowało jednak w języku angielskim w ironicznym znaczeniu.

¹³ Ralph Nevill (1865–1930) był „starym etończykiem”, prawnikiem i pisarzem.

¹⁴ W oryg. bez źródła, R. Nevill, *Floreat Etona. Anecdotes and Memories of Eton College*, London 1911, s. 58. *Floreat Etona!* – „Niech rozkwita Eton!” to łacińska dewiza College’u.

¹⁵ W oryg. niepełny opis bibl., por. J. Brinsley-Richards, *Seven Years at Eton*, London 1883.

które każdego dnia przychodziły do sali jadalnej koledżu po resztki chleba i innej żywności. Choć osoby te były dla świata o wiele bardziej użyteczne od nas samych, nazywaliśmy je „wiedźmami”, a jedną z naszych ulubionych rozrywek było zastawianie „pułapek na wiedźmy”. Polegały one na wydrążaniu bochnów chleba przez dziurkę z boku i wypychaniu ich musztardą, pieprzem, solą itp. Następnie zatykało się dziurkę, a chleb kładło na stole jako przynętę na nieświadomą niczego ofiarę, która zabierze go ze sobą do domu. Czy Misja Etońska w Hackney Wick¹⁶ zmiękczyła serca późniejszych pokoleń etończyków na tyle, że „pułapki na wiedźmy” zniknęły? Nie wiem. W naszych czasach nie mieliśmy ani grama empatii dla klasy pracującej, być może z wyłączeniem służących w koledżu, których znaliśmy osobiście i którzy zaspokajali wszystkie nasze potrzeby.

¹⁶ Misja w Hackney Wick w Londynie była misją kościelną (anglikańską), działającą w ubogiej dzielnicy robotniczej od połowy lat osiemdziesiątych XIX w. Finansowana przez Eton misja – St. Mary of Eton – istnieje w Hackney Wick do dziś.